

Drugie życie Beatelsów.

Zazdroszczę teraz takim Bootelsom, że mogą bawić się naszymi ulubionymi utworami, kreując je na nowo po swojemu, choć w duchu oryginałów... zawsze będę kibicował takim zapaleńcom jak czwórka z polskiego Liverpoolu - Łodzi.

Piotr Metz - krytyk muzyczny

Rozmowa z gitarzystą Piotrem Jełowickim, założycielem zespołu The Bootels.



Piotr Jełowicki podczas koncertu.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: The Bootels to zespół, który gra repertuar legendarnego zespołu The Beatles. Jednak na Waszych koncertach słyszeć, że muzyka Beatlesów dostała nową energię. Na czym polega różnica w wykonaniu znanych od kilku dekad utworów?

Piotr Jełowicki: Utwory przez nas wykonywane są zagrane dużo

bardziej energetycznie, ostrzej i z przesterami. Traktujemy Beatlesów tak jak wielkich klasyków: Bacha, Mozarta, Beethovena. Grając Beatlesów czujemy się jak filharmonicy wiedeńscy wykonujący dzieła wielkich mistrzów. Chodziło o to, żeby stworzyć pomost między muzyką lat 60., czyli epoką w której tworzyli Beatlesi, a czasami współczesnymi, dlatego zagranie tych utworów w nowych aranżacjach z większą energią powoduje, że są one odbierane dużo lepiej przez młodszych słuchaczy. W niektórych naszych utworach zostały wstawione cytaty wielkich klasyków muzyki rockowej czy hard rockowej takich jak Led Zeppelin, Deep Purple czy Black Sabbath. Chcieliśmy pokazać jak muzyka Beatlesów wpłynęła na późniejszych wykonawców, którzy również stali się legendami jak The Beatles. Tym samym pokazaliśmy, że Beatlesi swoją twórczością wyznaczyli wiele gatunków w muzyce rozrywkowej na całym świecie.

W lipcu tego roku graliście jako *support* przed zespołem Orchestra (Electric Light Orchestra) podczas 11 Festiwalu Legend Rocka w Dolinie Charlotty koło Słupska. Co zdecydowało, że wygraliście *casting*?

Myślę, że po prostu byliśmy najlepsi (śmiech). No i może to, że traktujemy Beatlesów trochę inaczej, niż tysiące innych zespołów. Festiwal Legend Rocka był dla nas dużym wydarzeniem. Z koncertu jest zarejestrowany materiał audio na

wielośladowie i prawdopodobnie w niedługim czasie powstanie płyta **The Bootels z Doliny Charlotty Live**. Ciekawostką jest to, że wykonaliśmy pełen program, który trwał 1,5 godziny i co się bardzo rzadko zdarza w przypadku zespołów *supportujących* gwiazdy, zagraliśmy bis.

Jakie macie wrażenia po występie w Dolinie Charlotty?

Zacznę od minusów: to niestety fatalna pogoda, lało od godziny 15-tej do północy, więc koncert The Bootels jak i gwiazdy wieczoru odbywał się w strugach deszczu. Nie miało to jednak wpływu na frekwencję publiczności, której było około 8 tysięcy.

Natomiast z pozytywnych rzeczy to super organizacja, super nagłośnienie i ekstra obsługa. Obawialiśmy się, że publiczność może nas nie zaakceptować, ponieważ nie jesteśmy autorami naszego repertuaru. natomiast już po kilku utworach publiczność rozkręciła się, co zaowocowało, jak już wcześniej wspominałem, bitem na sam koniec występu. Fajnie jest grać w takich miejscach na bardzo dużych scenach, gdzie dźwięk jest potężny i wszystko jest na najwyższym poziomie. Całą imprezę nagłaśniała firma, która jest jedną z najlepszych firm w Polsce i robi bardzo duże imprezy i festiwale.

Może mieliśmy lekki stres ze względu na fakt rejestracji materiału, ale nie przeszkadzało nam to wykonać pełnego *show*,

który zazwyczaj wykonujemy nie martwiąc się o takie rzeczy.

Kolejną ciekawostką było spotkanie gitarzysty ELO Parthenona Huxleya, który po naszej próbie powiedział, że bardzo mu się podobają nasze aranżacje i mocno trzyma za nas kciuki. Następnie zdradził nam, że sam gra w zespole, który wykonuje utwory Beatlesów, tak jak my i również jeździ na festiwale i gra w klubach repertuar Beatelsów.



Zespół The Bootels na 11 Festiwalu Legend Rocka w Dolinie Charlotty.



Mimo deszczu podczas Festiwalu w Dolinie Charlotty na brak publiczności nie narzekano.

Jak doszło do powstania zespołu?

Do powstania zespołu The Bootels doszło 2004 roku. Zebrała się grupa ludzi, która chciała po prostu ze sobą pograć. Mielśmy w planie wykonywać utwory różnych muzyków, ale problemem był wokalista, którego nie mogliśmy znaleźć. W końcu, podczas jednej imprezy domowej u Andrzeja Żukiewicza, na której był również Zbyszek Frankowski, zaśpiewali wspólnie „Ticket to Ride” i tym sposobem okazało się, że mamy w zespole dwóch wspaniałych wokalistów, których głosy bardzo dobrze współbrzmiały. To nas skłoniło do tego żeby pójść bardziej w stronę repertuaru Beatlesów i wyspecjalizować w tym temacie.

Nazwa Waszego zespołu brzmieniem przypomina The Beatles. Czy to celowa zbieżność?

W czasie kiedy powstawał nasz zespół prowadziłem jeszcze własne studio nagrań, w którym nasz zespół odbywał próby. W tym czasie odbywały się też nagrania innych zespołów. Któregoś dnia realizator umawiając termin nagrań z jakimś zespołem powiedział, że w tym czasie nie może być nagrań, ponieważ "butelsi" mają próbę. Gdy zdziwiony zapytałem go o jaki zespół chodzi, odpowiedział mi, że o nasz. Podczas prób zdarzało nam się wypijać "trochę" alkoholu i pozostawały po nas puste butelki. Stąd taka nazwa, która została później dopasowana pod względem pisowni i liternictwa, które ewidentnie wskazywało na podobieństwo do zespołu The Beatles.



Występ zespołu The Bootels w legendarnym The Cavern Club w Liverpoolu.



Występ zespołu The Bootels w legendarnym The Cavern Club w Liverpoolu.

Jesteście posiadaczami certyfikatu wydanego przez właścicieli klubu The Cavern, potwierdzającego wysoki poziom wykonywania muzyki Beatlesów na świecie. Czy trudno jest zdobyć taki certyfikat?

Nie słyszałem, żeby ktokolwiek posiadał taki certyfikat, a już na pewno nie w Polsce. Nam się to rzeczywiście zdarzyło, że właściciele The Cavern uhonorowali nas takim pismem, które otwiera nam wiele drzwi i pozwala zagrać w różnych, bardzo ciekawych miejscach.

Jak dostaliście się do studia nagrań w Londynie, w którym

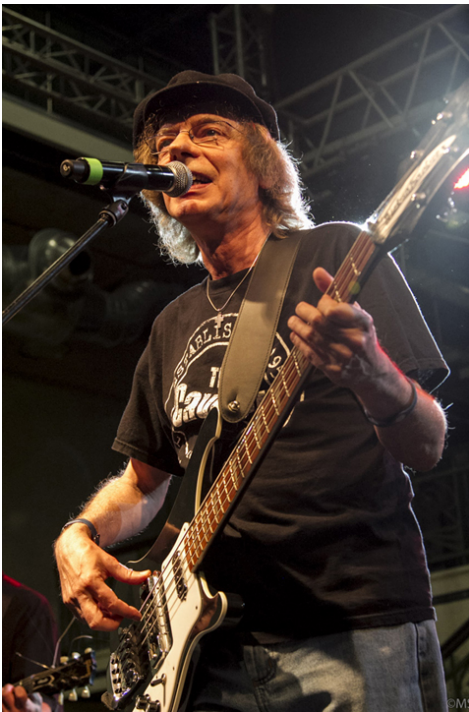
nagrywali Beatlesi?

Do studia Abbey Road dostaliśmy się drogą mailową. Niestety musieliśmy czekać 4 miesiące ponieważ człowiek, który robił nam *mastering* Sean Magee jest bardzo rozchwytywanym, zdolnym realizatorem i ma bardzo długie terminy. Również nie z każdym chce pracować. Nam się udało.

Mastering został zrobiony na urządzeniach na których pracowali Beatlesi. To duża dla nas satysfakcja i myślę, że ci którzy posłuchali płyty, a szczególnie analogowej, bo taka wersja również została, wydana, mogą naprawdę odczuć ducha tego studia i atmosferę jaka tam mogła panować w tamtych czasach.

Czy poznaliście Paula McCartneya lub Yoko Ono?

Niestety nie mieliśmy na razie okazji poznać żadnego z żyjących członków grupy The Beatles, natomiast na naszej drugiej płycie **The Bootels Revolution** jest fragment wywiadu z Paulem McCartneyem, który ładnie po polsku mówi „cześć”.





Gdzie głównie występujecie?

Zagraliśmy około 20 koncertów w Liverpoolu. Graliśmy też we Francji i w Niemczech. W Polsce gramy głównie imprezy zamknięte dla firm, ale także plenery oraz kluby.

Kto przychodzi na wasze koncerty?

Na nasze koncerty przychodzi bardzo zróżnicowana publiczność od młodzieży, czasami dzieci, aż po naprawdę wiekowe osoby, więc przekrój wieku słuchaczy mamy bardzo duży.

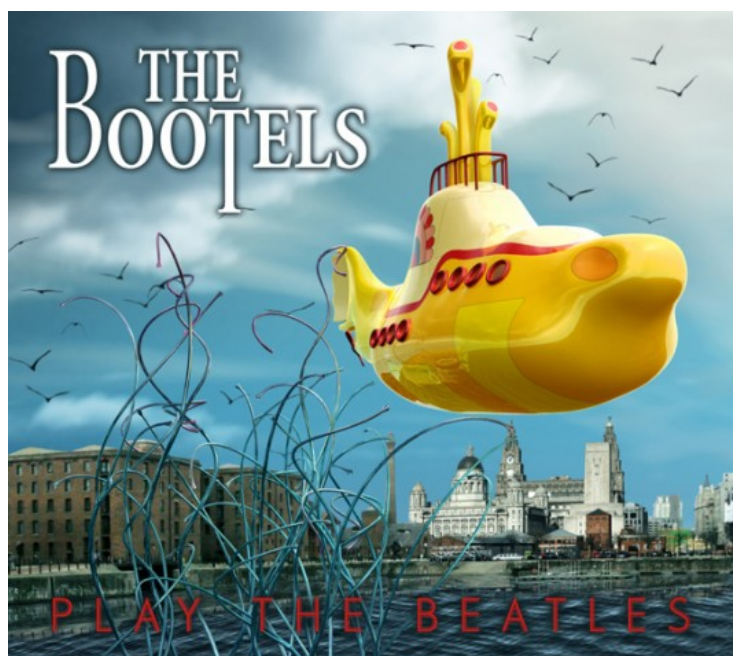
Na czym polega fenomen Beatelsów?

Myślę, że fenomen Beatlesów polega na wyjątkowym duecie,

który tworzyli Lennon i McCartney. Wspaniale współbrzmiające głosy, piękna harmonia, a do tego świetne kompozycje wyznaczały kanony gatunków muzycznych, które powstały na przestrzeni lat. Kompozycje są tak fantastyczne, że właściwie każdy utwór jest przebojem, co świadczy o ich naprawdę wielkim geniuszu i o tym, że na zawsze pozostaną w naszej świadomości muzycznej.

Strona zespołu The Bootels:

<http://dalmafon.pl/thebootels/>





Zespół The Bootels przed wejściem do legendarnego The Cavern Club w Liverpoolu. Od lewej: Andrzej „Żuk” Żukiewicz, Janusz Jeżyński, figura Johna Lennona, Piotr Jełowicki i Zbyszek Frankowski.

O zespole THE BOOTELS

Impulsem była miłość do muzyki Beatlesów. Dlatego członkowie The Bootels porozumieli się błyskawicznie i zaczęli grać piosenki słynnej czwórki. Grać tak, aby zachować ich ducha, ale jednocześnie dodać coś od siebie i sprawić, żeby mające po kilkadziesiąt lat utwory, brzmiały współcześnie. Bootelsi przearanżowali je w mistrzowski sposób: pozostawili m.in. charakterystyczne harmonie wokalne, ale dodali sporo gitarowego zgiełku i metalowej mocy. Sięgnęli po znakomite

instrumenty i wzmacniacze z lat 60. i 70., ale korzystają też z nowinek technicznych. Połączenie *feelingu* i czadu, tradycji i nowoczesności dało w ich wykonaniu świetne efekty. Od pierwszych taktów słyszeć w tych nagraniach style Beatlesów i... Bootelsów.

Łodzianie zmierzyli się z legendą chłopców z Liverpoolu, bo jak twierdzą, twórczość Johna, Paula, Georga i Ringo jest wieczna. Trzeba jednak dodać, że The Bootels to już także legenda. Legenda muzyków, którzy tworzyli historię polskiego rocka, a teraz spotkali się w łódzkiej supergrupie. Ich biografiami można by obdzielić kilka kapel.

Film o zespole:

Grający na gitarze basowej i śpiewający **Zbigniew Frankowski** w latach 60. grał w zespołach: Bardowie, Cykady, Śliwki i Vox Gentis (w duecie z Markiem Jackowskim, później liderem Maanam). Sukces osiągnął z grupą Quorum śpiewając piosenkę „Ach co to był za ślub” (I miejsce na festiwalu w Opolu 1970). Później występował w zespole Anawa z Markiem Grechutą, a następnie z Andrzejem Zauchą. Od 1974 r. akompaniował Maryli Rodowicz (m.in. „Kolorowe jarmarki” i „Remedium”).

Perkusista i wokalista **Andrzej Żukiewicz** uczył się grać na hitach The Beatles, a w 1984 roku przyszło mu występować w

amsterdamskim klubie Blue Note z samymi The Platters, o których czterech słynnych liverpoolczyków mówiło, iż niektóre piosenki pisali będąc pod ich wpływem. Dwa lata później trafił do **Rezerwatu**, który w latach 80. był jednym z najpopularniejszych zespołów w Polsce. Współpracował też m.in. z Felicjanem Andrzejczakiem.

Gitarzysta **Piotr Jełowicki** grał w zespołach Pornografia i Monaliza oraz w legendarnej punkowej grupie Moskwa. W 1991 r. stworzył autorski projekt P.J. BAND i nagrał solową płytę. Otworzył jedno z pierwszych prywatnych studiów nagrań w Łodzi. W 1995 roku powstała druga płyta P.J. Band „Cash”. Piotr jest autorem wideo szkoły „Nauka gry na gitarze”, która została wydana przez Janusza Popławskiego i jego pismo „Gitarra i Bas”.

Janusz Jeżyński absolwent Łódzkiej Akademii Muzycznej, muzyk, multiinstrumentalista, kompozytor, aranżer, realizator dźwięku. Grał w kilku projektach muzycznych (PJ Band, Raze, Wariacje.pl). W 2009 roku wydał autorską płytę „Stajnia Augiasza”, zrealizował kilka pozycji muzyki alternatywnej. Jego pasją przez wiele lat była elektronika, co w połączeniu z wykształceniem muzycznym zaowocowało wieloma projektami urządzeń dla firm elektronicznych i muzyków.



Występ zespołu The Bootels w legendarnym The Cavern Club w Liverpoolu.



Występ zespołu The Bootels w legendarnym The Cavern Club w Liverpoolu.

Rok 2008 był dla Bootelsów bardzo ważny. Wydali debiutancką płytę i pokazali się za granicą. W lutym zagrali w słynnym liverpoolskim klubie **The Cavern**, gdzie Beatlesi zaczynali wielką karierę. Muzyka łodzian tak się spodobała, że zostali zaproszeni na festiwal muzyki The Beatles „Beatleweek”, który w sierpniu, jak co roku, przyciąga do Liverpoolu fanów słynnej czwórki z całego świata. Zespół odwiedził Anglię jeszcze raz w 2009 roku i łącznie zagrał w Liverpoolu prawie 20 koncertów. Od tego momentu zespół zagrał również wiele koncertów w całej Europie i setki w samej Polsce.

Drugi, album The Bootels **R-evolution** ukazał się w grudniu 2015 r. Został *zmasterowany* w legendarnym **Abbey Road Studios** w Londynie na urządzeniach, które wykorzystywali sami Beatlesi. Śmiało można powiedzieć, że gdyby jakimś cudem The Beatles przetrwał, tak jak np. Stonsi, to z pewnością grałby tak jak The Bootels. Brzmienie jest mocniejsze, interpretacja bardziej współczesna, choć to cały czas *rock and roll*. Udało im się niejako rozwinąć pomysły oryginalnych twórców poprzez własną interpretację i ciekawą aranżację. Bawili się przy tym świetnie, stąd znakomicie wykorzystane cytaty z innych gigantów muzyki jak Black Sabbath czy Led Zeppelin. Niewątpliwym rarytasem płyty jest fragmencik wywiadu udzielonego przez Paula McCartneya przy okazji jego ostatniego koncertu w Polsce w 2013 roku. Był to podobno jedyny wywiad, którego udzielił artysta podczas tej wizyty. Przeprowadził go

najlepszy znawca tematu redaktor Piotr Metz.

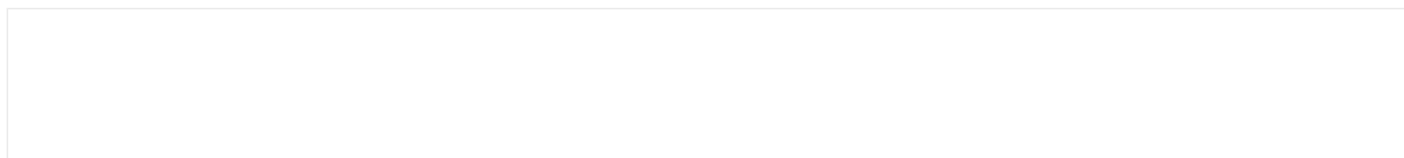
Jego też obszerny opis znalazł się wewnątrz okładki płyty. Oto fragment:

Zazdroszczę teraz takim Bootelsom, że mogą bawić się naszymi ulubionymi utworami, kreując je na nowo po swojemu, choć w duchu oryginałów... zawsze będę kibicował takim zapaleńcom jak czwórka z polskiego Liverpoolu – Łodzi.

Album **R-evolution** został wydany również na winylu, który jest uzupełnieniem kolekcji miłośników tej klasycznej już w końcu muzyki.

W sierpniu 2016 r. The Bootels byli na kolejnym 30. jubileuszowym Beatleweek w Liverpoolu, gdzie zagrali kilkanaście koncertów.

Tyle historii, czas na muzykę, która broni się sama.



Galeria

Koncerty zespołu The Bootels









Cavern City Tours

Directors; Dave Jones, Bill Heckle, George Guinness and Julia Baird

First Floor, Century Buildings
31 North John St
Liverpool, L2 4RG

Tel: +44 (0) 151 236 9091
Fax: +44 (0) 151 236 8081

Website: www.caverncitytours.com
Email: office@thecavernliverpool.com

Registered Office
Edward Robinson & Co
Suite 26
Century Buildings
Brunswick Business Park
Liverpool L3 4BJ

VAT Reg. No: 727 1517 40
Company Registration No: 1744312

The Bootels

The Bootels were only the third Polish band to have ever played Beatleweek and they certainly represented their country well, playing with enthusiasm and great skill.

They played the Beatles Convention and The Cavern Club (the birthplace of the Beatles) and the crowd really loved them.

It is great that bands keep the Beatles music alive and in Poland, with The Bootels their legacy will continue to grow.



Bill Heckle
Director
Cavern City Tours

Certyfikat wydany zespołowi The Bootels przez legendarny klub
The Cavern.

Jan Goczoł. Poeta innego czasu?



Jan Goczoł, fot. Katarzyna Zawadzka.

Korespondencja z Polski

Leszek Żuliński

Pozwolę sobie zacząć od dygresji osobistej... Otóż Jan Goczoł i ja urodziliśmy się kilka kilometrów od siebie, z tą różnicą, że poeta piętnaście lat wcześniej. On wydał swój pierwszy tom wierszy w roku 1961, ja czternaście lat potem. Ale taka właśnie różnica wieku i startu literackiego wystarczyła, że jako debiutant miałem Goczoła od początku za „klasyka”. Był już zresztą znanym

działaczem społecznym i kulturalnym na Śląsku Opolskim. I redaktorem. Był „postacią literacką” i szybko stał się poetą cenionym, co mi imponowało. Potem przez dwie kadencje posłował w Sejmie, należał do warszawskich zespołów redakcyjnych, wydawał kolejne książki; jego autorytet umacniał się. I miałem to poczucie więzi z KIMŚ TAKIM, z mojej Opolszczyzny. Mam je do dzisiaj. Może nawet mocniejsze niż dawniej – teraz, kiedy Ślązacy stali się „podejrzaną grupą etniczną”.

Jan Goczoł nie był autorem zbyt płodnym (nie musiał; może i dobrze...), ale zawsze „ważnym”, toteż bardzo się ucieszyłem, biorąc po latach do ręki jego zbiór wierszy pt. *Z pogorzeliska*. Tym bardziej, że w ostatnich latach gdzieś „mi zniknął”. Oczywiście czasy się zmieniły – w samym Opolu pojawili się chociażby tak znani autorzy, jak m.in. Podsiadło, Różycki czy Rudnicki... Tak więc miejsce Goczoła zrelatywizowało się na całej tej mapie poetyckiej.

Czy stał się już poetą „innego czasu”? Hm, w jakiejś mierze na pewno. Młode, galopujące bizonki oddają nas do domów starców, ale – do diabła! – my jeszcze żyjemy, my jeszcze piszemy.

Ten tomik Jana Goczoła ukazał się – przypadkowo – w dobrym momencie, akurat – o czym wspomniałem – gdy rozpętała się absurdalna burza na temat polskości Ślązaków. A Goczoł jest, jak

mało kto, przykładem rdzennego Górnślązaka i poety z krwi i kości polskiego. Właśnie jakby wzorcem homogenizacji historycznej, patriotycznej i kulturowej, kreującej na całej Ziemi szczególnie ciekawe inspiracje i cenne świadectwa czasu.

Wiersze w tym tomiku pochodzą z lat 1985-2010. To nie jest jednak klasyczny wybór – przeważają teksty z lat ostatnich. Jednak widać, że to minione piętnastolecie „przesuwało” Goczola ku przeszłości, ku konstatacjom uniwersalnym, takim, jakie przychodzą do głowy, gdy sumujemy własne doświadczenia i patrzymy w przestrzeń pozbawioną jasnej perspektywy.

Dostrzec tu można wyraźnie trzy wątki. Pierwszy – to właśnie wątek śląski. Podyktowała go świadomość przynależności do własnej tradycji i kultury, ale chyba jeszcze bardziej nostalgia za upływającym czasem. Goczół jest teraz w takim wieku, że to wystarczy, by znać i pamiętać zmiany pogody nad swoją ziemią, i to nasączone tymi archetypami, tą „przedpamięcią”, jaką wszyscy wynosimy z rodzinnych domów ojców i dziadków. Tradycja śląska pojawia się już na pierwszych



stronicach zbioru, w odwołaniach do Angelusa Silesiusa i Jana Nepomucena, ale szybko te wiersze powiewają naszym czasem. Jak ten, którego mieszkańcami są emigranci i gastarbeiterzy – wnukowie Starego Ślązaka – rozrzućeni po całym świecie. Ale ta postać Starego Ślązaka jest tu najważniejsza i bardzo symboliczna – to jakby matuzalem i patron, rdzeń z rdzenia, kość z kości, opoka... I choć świat ucieka mu spod nóg, on splunie w dłoń, podniesie topór i jak gdyby nigdy nic będzie *rąbał drewno na zimowy opał*. Ładna metafora, nośna, jednak jakby wzięta z mitologii, z baśni, która za lasami za górami. Tak czy owak Goczoł opowiada swoje Macondo, opowiada jakiś etos; strach pomyśleć, że coraz bardziej daleki. Lecz ta nuta śląska brzmi w tych wierszach mocno, co znaczy, że Goczoł twardo się trzyma korzeni. Czy mogło być inaczej? Inaczej – w jego wierszach?

Drugi wątek, to sprawy współczesne. Nasz świat, nasze problemy i wahania. Nie ma tych wierszy dużo, ale jak już – to już. Cytuję w całości wiersz bez tytułu:

Mów monosylabami, najlepiej

ich ćwierciami, ledwie słyszalnymi, by

ulatywały bezpowrotnie, nie wracając
wołami zapierającymi się w ziemię
coraz bardziej grząską po tych kwaśnych
deszczach
między Wisłą a Odrą. Już od wielu pokoleń
tak padają. Chociaż coraz to ci z góry
zmianę pogody obiecują.

To tekst uniwersalny, to wiersz-przesłanie o wysokich walorach aksjologiczno-etycznych, a równocześnie może być czytany jako sarkastyczny utwór „polityczny”, i to bardzo dziś aktualny. Tu widać całą dyscyplinę warsztatową tej poezji, jej umiar i wyciszenie, a jednak sens paraboliczny jest tu czytelny aż do bólu, ostry i niekompromisowy.

Goczoł daje popis poezji znakomitej, wyrafinowanej i „mocnej”. Ale swoje „bunty” przemyca ze stoickim spokojem, w wyciszeniu, w tonacjach lirycznych; m.in. jest świetnym „malarzem znaczeń” i „pejzażystą”, myśli obrazem, tłem, nastrojem, aurą; nie jest ani nowatorem, ani tradycjonalistą, a to z tego oczywistego powodu,

że znalazł już dawno swoją nutę osobną. Wprowadza nas w swoją realną prywatność, jak np. w kolędowanie u państwa Wysockich, przyjaciół (aż trzy wiersze na ten temat!) czy w oczarowania (wiersze bieszczadzkie).

Niechaj nas jednak ta kameralność nie odurza swą estetycznością lub czystym liryzmem. To są wiersze „gęste”, „napakowane”, o dużej wadze problemowej.

I już docieram do trzeciego wątku, najobszerniejszego w tym tomie, najbardziej bolesnego i chyba najbardziej przejmującego. Ów tytułowy w tej recenzji „poeta innego czasu”, to nie tylko strażnik przeszłości, to także „zegarmistrz czasu przyszłego”. Ale to już się dzieje na zupełnie innej płaszczyźnie – Goczoł opisuje swoje własne „pogorzelisko” egzystencjalne. Te wiersze są chyba najbardziej przejmujące – bowiem „schyłkowe”, oswajające własny kres, odchodzenie, znikomienie, dobieganie do mety. W kurtuazyjnym odruchu można by zakrzyczeć: „Panie Janie, a dajże Pan spokój”, ale nie zrobię tego, bowiem wszyscy wiemy, że gdy się ma tyle lat, to niemal każdy przymierza czarny garnitur i podsumowuje swoje przeżyte dni. Jednak każda poezja egzystencjalna, metafizyczna, profetyczna w wieszczaniu własnego kresu, to piętro najwyższe, jakiego możemy sięgnąć. Goczoł opowiada swoje „słabnięcie”, swój odmarsz niezwykle

subtelnie i z wielką mądrością, którą nasyciło go życie. Mądry jest jego stoicyzm, łagodność, pogodzenie z losem i niezakłamywanie tej wspólnej wszystkim prawdy, ale zawsze najdosadniej prywatnej i beznadziejnej. Ten wątek uważam za apogeum, jakie tu znajduję; to wiersze wielkiej urody, pogodnego smutku, wnikliwego, intymnego autodefiniowania oraz osvajania własnej Nocy. Rzekłbym, że nawet jakiś klasyczny epikureizm tkwi w tym stoicyzmie i trudnej spowiedzi z własnej kondycji.

Tomik zamyka wiersz pt. *Post scriptum*, będący a propos tego, co napisałem powyżej:

Te wiersze są jak ryby wyrzucone przez rzekę
na wysoki brzeg; z ogromny trudem łapią
oddech.

Należy je czytać zgodnie z ich oddechem, tak
jak się z rzeki wynurzały i w nią zapadały –
jedno zdanie na tydzień, nieraz i rzadziej,
póki się nie skropliły ich wieczności.

Ciemne zawiesiny powinny pozostać
nienaruszone –

anegdoty, jakie przesłaniają, niczego nie
wyjaśnią,

wiodą mylącymi tropami. Może jedynie na chwilę

w samotnym milczeniu rozbłyskują ich twarze,

odżywiają się dalekimi głosami.

Ten wiersz, autotematyczny w swym pierwszym planie, to przecież wiersz o udręce niemocy i zdyszanim dobieganiem do mety. Co ciekawe: bliźniaczym wierszem jest utwór na początku tomu, drugi z kolei. To klamra, która spina wszystko, co tutaj najważniejsze i najbardziej dramatyczne.

Tomik ważny, bogaty, różnorodny, skupiony, intymny, bolesny i bardzo mądrze wmyślający się w krajobrazy zewnętrzne i wewnętrzne Czasu, który Jan Goczoł chce ogarnąć w poczuciu własnego zmęczenia i rozczarowania światem, choć po horacjańsku ukochanym.

Jan Goczoł *Z pogorzeliska*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2011, s. 64.

Jan Goczoł (ur. 13 maja 1934 r. w Rozmierzy) – polski polityk, poeta, w latach 1985–1991 poseł na Sejm IX i X kadencji.

Ewa Kołacz. Impresje.

Ewa Kołacz (Eva Kolacz) prezentuje wszechświat jako proces, a malarstwo jako nieustająco przekształcający się świat, który będąc stałym, jednocześnie się przeobraża.
(John K. Grande)

Ewa Kołacz – kanadyjska poetka i malarka



Ewa Kołacz

Spacer

Każdy z nas żyje na swej bezludnej wyspie

która opływa pospiesznie życie.

Wyznaczamy na niej granice

własnymi myślami.

Wielkość tej wyspy zależy na szczęście

głównie od wyobraźni.

Obwarowani przyzwyczajeniami

jakże niechętnie udzielamy gościny

i jeśli przy kimś zapomnimy się na chwilę,

jeśli nocą nie potrafimy obyć się bez niego

tym skwapliwiej zamykamy się w sobie.

Z rana triumfy świeci nasze ego.

Wieczni uciekinierzy. Czasem uciekinierzy z wyboru

wciąż z pytaniem jak przeżyć ambitniej i mądrzej

zapominamy że istnieje zwykłe ludzkie życie.

Samotność głuży kilka rozpoczętych książek.

Znów słowa, daruj. Tak lubię późny czerwiec
z jego poranną mgłą, z zielonym cieniem akacji
podaj rękę i chodźmy już na spacer.

Czas wakacji.



Eva Kolacz, Fantasy Island.

Jeszcze jedna noc

Noc. Krótka, prawie bez księżyca

za oknem domy z wolna gasną

i tramwaj cienko śpiewa, nie mogę zasnąć.

Wciąż brak mi tej pięknej umiejętności

uchodzenia myślom

więc gram z nimi w wyścigi

lecz gdy zamknę oczy

już są przy mnie

i sen się gładko toczy po prześcieradle

i ginie.

Myśli. Jedne tak ulotne, że dotknąć ich nie sposób.

Są jak motyle albo ptaki,

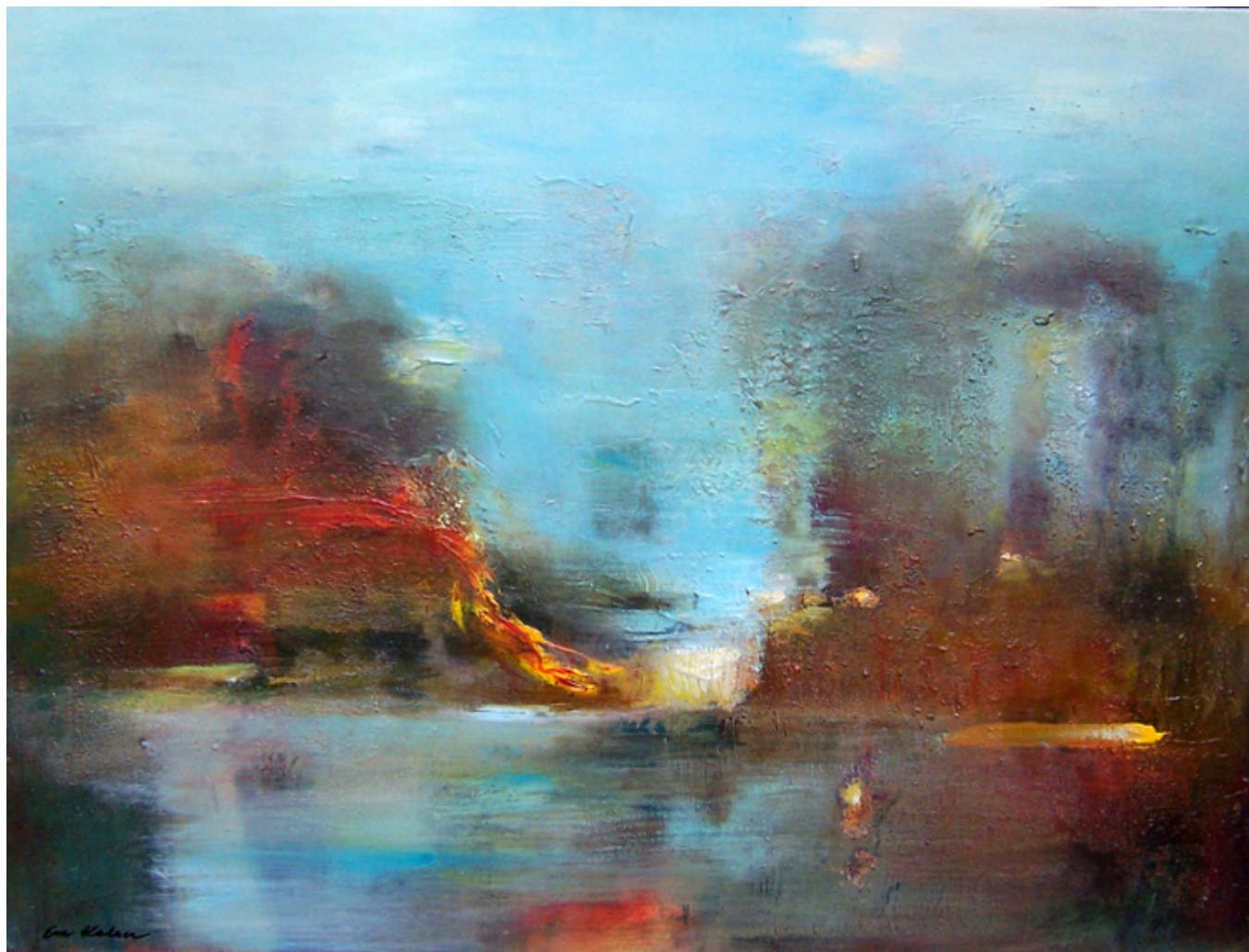
budzą sny po których chodzę tak lekko

jak z balonikiem w ręku dziecko.

Inne myśli najczęściej przychodzą nocą,

znają każdą ścieżkę ciała, każdą szczelinę,
gdybym mogła, gdybym umiała pozbyć się ich
lecz żyją już swym własnym życiem
i milkną dopiero gdy świt
wchodzi do pokoju ze światłem.

Zapalam lampę.



Eva Kolacz, Peaceful - Moments.

Muza i Poeta

Myślisz, że to ładnie kręcić jego myślą,

wchodzić jak do siebie

w czerwonych obcasach?

Śmieją się jej usta ze zwycięstwa

czary w nim uwięzione – zachłanna kobieto.

On – zanurzony w codzienności

jak w małej uliczce z której nie ma wyjścia

uczy się teraz mieszkać we wszystkich

zakątkach świata

i z pewnością będzie o nim głośno.

Wczoraj bezosobowy i nieistotny

z pozycji podpatrującego świat,

dziś właściciel długonogiej muzy.



Eva Kolacz, Flow of Light.

Sentymentalnie

Dopiero tutaj

we mnie dziś nie ma tych chmur.

I śmieję się na tyle długo

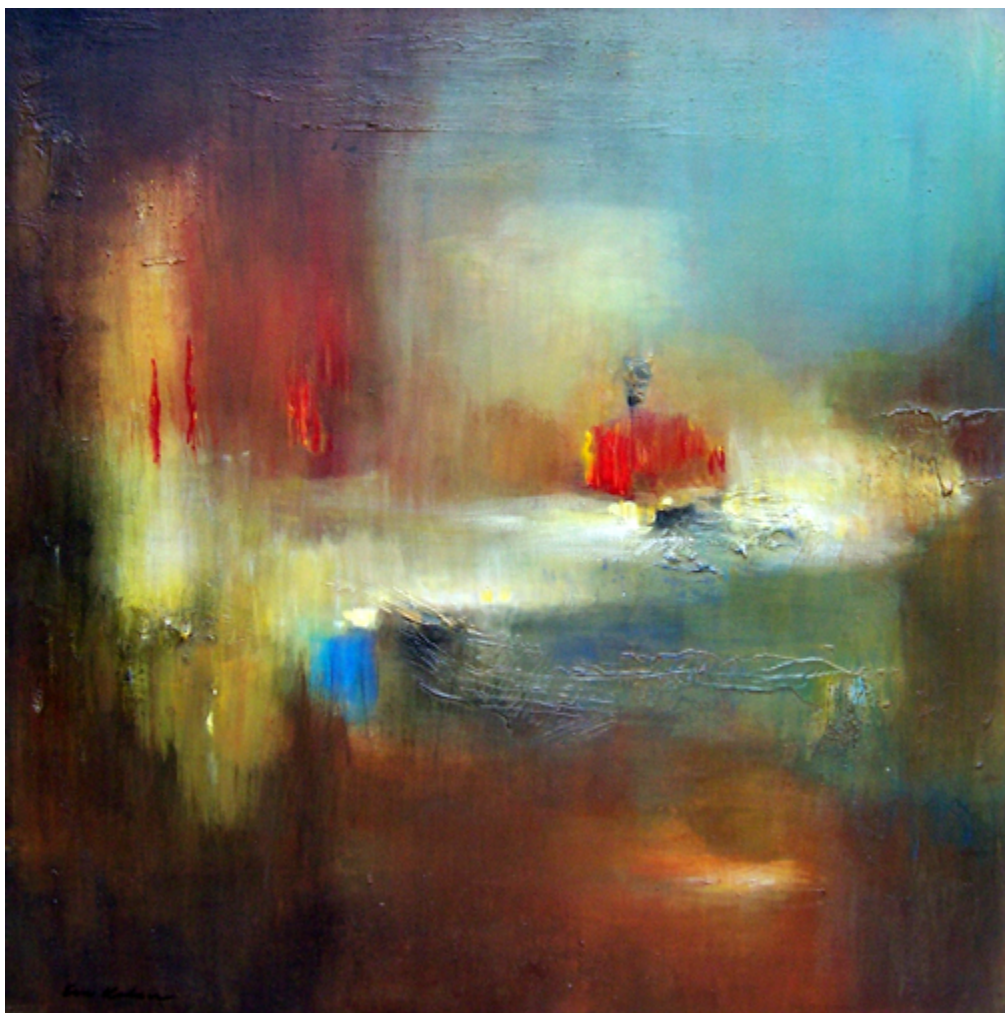
by zapamiętać śmiech.

Dlaczego nie zapachem dziewanny
mam być we wrześniowym poranku
wstawionym w polski pejzaż.

Sentymentalnie oh zbyt sentymentalnie
gdy codzienność wjeżdża w internetowy wszechświat
łukiem triumfalnym.

Clicklik – to my nowi władcy świata.

A mnie lepiej
tam gdzie dotyk ciepłej dłoni
i gdzie droga, która nie zna wszystkich odpowiedzi.



Eva Kolacz, Follow Thepath.

Eva Kolacz na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/ewa-kolacz-fazy-swiatla/>

Konwikt



Florian Śmieja

Nazwa “Konwikt biskupi” dzisiaj znalazłaby niewiele zrozumienia, a jeszcze mniej entuzjazmu. Inaczej było w 1935 roku, kiedy dziesięcioletni smyk wyczytał ją w tygodniku “Gość Niedzielny”, w małej przygranicznej miejscowości na Górnym Śląsku. Budynek instytucji, pokoje, a także fotografia dystyngowanego dyrektora, księdza prefekta, zrobiły wielkie

wrażenie na malcu, natychmiast wywołały pragnienie, by się do tej bursy dostać. Nie bacząc na sytuację, odruchowo napisał list do dyrektora, dodając nieporadnym pismem skreślونemu podaniu autorytetu ojcowskiego stempla "Piotr Śmieja, Cegielnia Parowa, Kończyce".

Petycja nie została zignorowana, coś tknęło adresata, by odpowiedzieć na apel śmiałego chłopca. Szef internatu w Tarnowskich Górach radził, że skoro petent jest dopiero w piątej klasie szkoły powszechnej, to potrzebuje zaliczyć szóstą. Dodał, że na miejscu cieszyła się dobrą sławą szkoła, tzw. Ćwiczeniówka, do której mógł się zapisać do szóstej klasy, a potem zdawać egzamin do gimnazjum.

Ojciec, widocznie na naleganie matki, zgodził się wysłać małolata do obcego miasta i do innego środowiska z dala od rodzinnego domu. Sąsiadka pomogła usypać pierzynkę i autobusem z matką pojechałem z tobołkami do Tarnowskich Gór. Tak zaczęła się moja trzyletnia przygoda w internacie.

Przy ulicy Powstańców stał duży budynek z czerwonej cegły, dwupiętrowy z kaplicą. To w nim, w dwu dużych salach urządzono sypialnie dla starszych i młodszych uczniów, w dużym pomieszczeniu, zwanym studium, stało kilkadziesiąt pulpitów do odrabiania lekcji po południu i wieczorem. W refektarzu podawano posiłki, które przygotowywały cztery

zakonnice także opiekujące się całym gospodarstwem domowym. W piwnicy stały szafki z butami, tam przewidziane było po kolacji powszechne czyszczenie butów.



Konwikt Biskupi w Tarnowskich Górach, fot. wikipedia.

Rozpiętość wieku alumnów wahała się od lat jedenastu, jak w moim wypadku, po mężczyzn dwudziestoletnich i nieco starszych, repetujących egzaminy maturalne. Obok żółtodzioba z zabitej wioski, były też niebieskie ptaki, co to z niejednego pieca chleb jadły, niektórzy mieli ponoć wilcze bilety i w małej mieścinie śląskiej próbowali szczęścia, by sforsować tę konieczną barierę, która nie pozwalała im pójść na studia. Sądzę, że

komplet internatu składał się z czterdziestu kilku osób głównie z terenu Górnego Śląska z garstką przyjezdnych ze stron dalszych, nawet z Francji. Roczna opłata za mieszkanie i wyżywienie wynosiła 600 złotych, a pełne chesne w gimnazjum kosztowało ojca 220 złotych, bo jako osoba prywatna nie miał żadnej zniżki.

Współżycie w takiej grupie było pamiętnym doświadczeniem. Edukowało dosłownie i powodowało szlifowanie jednostek w ciągłym kontakcie z innymi. Starsi koledzy służyli radą i chętnie popisywali się posiadaniem większej wiedzy. Jeden z nich nakłonił mnie do nabycia jego starego podręcznika "*Disce puer latine*", potrzebnego mi dopiero od drugiego półroczu pierwszej klasy gimnazjalnej, lecz za to nauczył mnie tyle łaciny, że kiedy zaczęły się jej lekcje, wysforowałem się na czoło klasy i już tego miejsca nikomu nie oddałem. Łacinnik, "Kalwas", surowy i postrach uczniów był ze mnie bardzo dumny, nazywając zazwyczaj starszych studentów, końmi Bożymi, kazał im ze mnie brać przykład. Po dziś dzień pamiętam, kiedy go sromotnie zawiodłem w czasie wizytacji dyrektorskiej, i nie potrafiłem odpowiedzieć na jego proste pytanie.

Wtedy też gwara śląską, którą się wyłącznie posługiwałem w Kończycach, zaczęła zastępować polszczyzna literacka. Prawdopodobnie dopilnowali tego nauczyciele, których z kurtuazji nazywaliśmy profesorami. I tak polonista Huza, podkreślał wyrażenia w moich wypracowaniach, kładąc na

marginesie uwagi "gwara". Musiałem też w rozmowach z kolegami w klasie używać polszczyzny. W szóstej klasie tzw. Ćwiczeniówce zaprzyjaźniłem się z Halinką, córką majora 11 pułku piechoty stacjonującego w Tarnowskich Górach. Po jego nagłej śmierci często bywałem w domu Halinki, który był naprzeciwko konwiktu. Tam nie mówiono gwarą.

Będąc beniaminkiem czeladki w wieku dorastania i konfliktów z autorytetami, byłem wystawiony na sytuacje trudne i nie jednoznaczne. Ksiądz prefekt miał problemy dyscyplinarne z krnąbrnymi i niesfornymi studentami. Niekiedy do rozprawienia się z nimi posługiwał się najmłodszymi wychowankami korzystając z ich naiwnej prostolinijności. Pamiętam, jak pewnego razu po swojej perorze przeciwko paleniu tytoniu, zauważył czyjąś rękę z papierosem grożącą mu z tyłu.

Nie potrafiąc zidentyfikować sprawcy, wzywał nas, najmłodszych, potem na rozmowy i uzyskał potwierdzenie swoich przypuszczeń. Winny student został wydalony. Do mojego pamiętnika oprócz kolegów wpisywali się niektórzy z naszej starszyny. Zapewne nawiązując do epizodu wyżej opisanego, autor zacytował wierszyk, którego w całości nie potrafię już przytoczyć. Chodziło o prawdę i jej chwalebne cechy.

...Prawdą Bóg sam.

Za prawdę wieczne szczęście cię czeka

Lecz gdy masz prawdą zabić człowieka

To wtedy kłam.

W sali studiów obowiązywała cisza, tym dramatyczniej rozległo się pewnego razu stukanie w jednym z pulpitów. Dyżurujący student, senior, podniósł blat pulpitu, by ujrzeć prymitywny odbiornik sygnałów Morse'a, który przemyślny kolega zmajstrował i skutecznie zademonstrował. Wówczas też nauczyłem się konstruowania radia z kryształkiem. W piwnicy urządziliśmy sobie laboratorium chemiczne, paliliśmy siarkę z opiłkami i wytwarzaliśmy śmierdzące gazy. Prąd elektryczny podłączaliśmy do klamki. Wtedy podając sobie ręce tworzyliśmy łańcuch i podskakiwaliśmy, by znieść "kopanie" prądu. Udało się nam raz złapać najmłodszą zakonnicę, która pewnie od tego momentu kojarzyła dotyk mężczyzny z diabelską elektrycznością.



Tarnowskie Góry na starych
pocztówkach

Ponieważ moja matka od czasu do czasu zaopatrywała mnie w masło, na śniadania dostawałem posmarowaną bułkę. Przypominam sobie zatarg z kolegą, który także dostawał bułkę z masłem. Kiedy ktoś mu ją zjadł, on najspokojniej zabrał mi moją, uważając, że postąpił właściwie. Na niedzielne obiady niekiedy bywały kluski śląskie, nieduże i raczej "gumowe". Choć drobny

chłopaczek, apetyt miałem dorosły. Zjadłem na raz 25 klusek, bijąc dryblasę, który mógł skosztować tylko 18 sztuk.

Ksiądz prefekt był także naszym profesorem od religii w gimnazjum. Z ministranturą mieliśmy ciągle na pieńku. Wpadliśmy na pomysł, jak ją wreszcie zdać. Zatelefonowałem do księdza gotów zdawać przez telefon. Jeszcze dziś słyszę wezwania w słuchawce "kto mówi, kto mówi". Ale frajerów już wtedy nie było.

Na pocztę, z której telefonowałem, później stałem w ogonku do okienka, gdzie sprzedawano piękny znaczek pamiątkowy na cześć mającego się odbyć lotu balonu polskiego do stratosfery. Bloczek bodaj kosztował dwa złote, pokaźna kwota dla malucha. Dusłem srebrną monetę i w końcu zrezygnowałem i znaczka nie kupiłem.

Młodzi wychowankowie trzymali przepisowo pieniądze kieszonkowe w depozycie i po obiedzie zgłaszali się do księdza prefekta z zeszytem z prośbą o wydanie drobnych kwot na doraźne wydatki. Z zaoszczędzonych groszy mogli sobie kupić coś dla siebie.

A w Tarnowskich Górach przy ul. Krakowskiej kusił nas salon lodów "Italia". Za 40 groszy podawano tam w niklowanych pucharach porcje wybornych lodów. Zazwyczaj trzy ćwiartki były

wypełnione lodami, a czwarta, śmietaną. O takiej pełnej porcji można było tylko marzyć, kontentowaliśmy się, i to rzadko, mniejszą porcją.

Znaczki pocztowe kolekcjonowałem z pasją. Wszystko zaczęło się od odwiedzin mieszkającego w naszej kamienicy w Kończycach lokatora, Wilhelma. Służył on we francuskiej legii cudzoziemskiej. Z dobrych nawyków, które stamtąd przywiózł, była filatelistyka. Uzbierał dużo pięknych znaczków. Urzekł mnie widok jego albumów. Podarował mi kilka znaczków podwójnych. Wśród nich był irlandzki, który pomyliłem z fińskim. Nic mi wtedy nie mówił kształt wyspy irlandzkiej na znaczku, a miałem w przyszłości spędzić na tej wyspie trzy beztroskie lata uniwersyteckie.

Matka aprobowwała moje zbieractwo, ale była przeciwna kupowaniu znaczków. Kiedy przyjechała w odwiedziny do Tarnowskich Gór, ja akurat sprawiłem sobie serię znaczków, które pośpiesznie ukryłem na głowie pod czapką. Pech chciał, że mama postanowiła swojego najstarszego ostrzec. Kiedy weszliśmy do fryzjera, musiałem zdjąć czapkę i pofrunęły moje znaczki...

Gorącym dniem w konwikcie stał się dzień, w którym gruchnęła wieść, że skradziono album ze znaczkami jednemu z wychowanków. Ksiądz prefekt dobrał sobie kilku zaufanych

starszych studentów, zamknięto internat i zaczęło się gruntowne przeszukiwanie budynku. Akcja przyniosła rezultat. Na strychu za jedną z szaf album znaleziono. Nie pamiętam już finału całej tej historii.

Sypialnia młodszych studentów była większa od dormitorium starszych. Za winy popełnione i dla nauczki, ci ostatni od czasu do czasu, by nas nauczyć respektu, dawali nam w nocy "koca". Przychodzili po ciemku i nie szczędzili batów. Myśleliśmy o odwecie, ale kończyło się na hałasach i rzucaniu jakichś przedmiotów przez otwarte drzwi. Baliśmy się większego lania w razie schwytania na ich sali.

Obok konwiktów stał budynek sądu grodzkiego i więzienie. Widywaliśmy próby komunikowania się więźniów z rodziną podchodzącą do parkanu. Podawaliśmy rzucone niekiedy na nasz teren listy. Z ciekawości zgłosiłem się parę razy, by służyć za ministranta w więzieniu.

Tarnowskie Góry były miastem garnizonowym, w którym stacjonowały dwa pułki: 11 Pułk Piechoty oraz 3 Pułk Ułanów. Trzeba było widzieć ich powrót z manewrów! Całe miasto wylegało na powitanie. Któż nie czuł dumy na widok wyćwiczonych czwórek piechoty, a co dopiero patrząc na setki koni w ułańskich trójkach. Orkiestry dęły z całego serca napełniając rynek i przyległe ulice świętem i radością.

Ułani zapraszali nas chętnie na pobliski poligon, gdzie podziwialiśmy ściganie się jeźdźców, gonitwy, by lancą nadziać kukłę słomianą lub szablą ściąć witkę. Przyglądaliśmy się manewrowaniu taczanek i dział przeciw



Tarnowskie Góry na starej pocztówce.

ernych, które stawiały czoła makietom czołgów wytaczanych na horyzoncie. Ileż to było emocji, ile obaw i nadziei. Na "kryj się, lotnik", wyły syreny nad miastem, kiedy samotna awionetka symulowała nieprzyjacielską inkursję samolotów w polskie niebo.

Z synem pułkownika 3 Pułku Ułanów, Bohdanem, rywalizowałem z powodzeniem w pierwszej i drugiej klasie, mimo że mógł on liczyć na nadzwyczajne posiłki w postaci swojej matki, która pojawiała się na wywiadówkach w obłokach perfum, a cała kadra pedagogiczna śpieszyła, by pocałować ją w rękę. Moja matka nie wiedziała, co to jest wywiadówka.

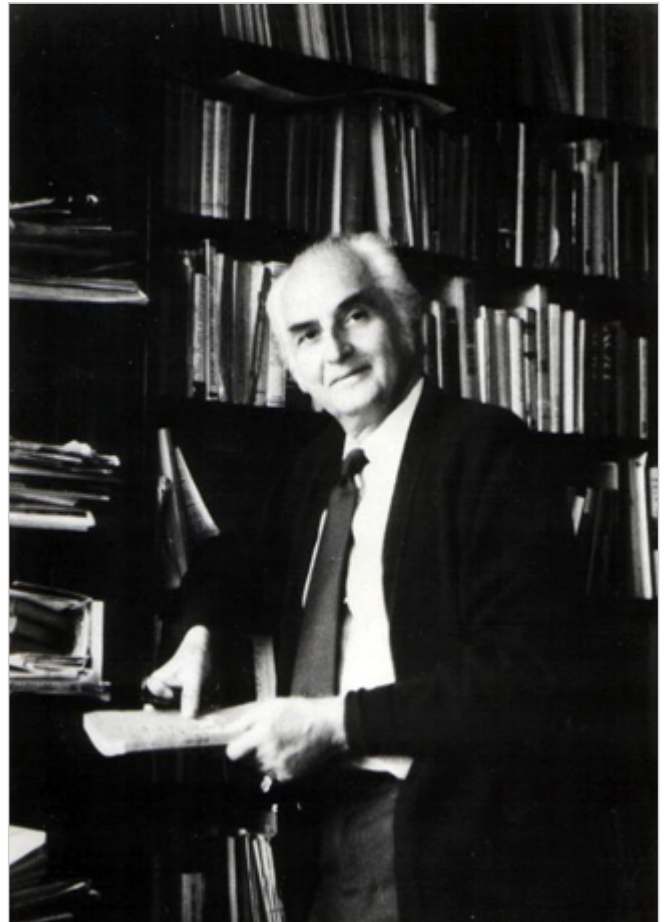
Zabawną polszczyzną mówił nasz germanista Knosala, a matematyk, Broniec, część lekcji poświęcał sprzedawaniu papierowych ekierek i kątomierzy. Kosztowały one grosze, ale i o nie musiał się upominać w czasie spotkań z rodzicami. Zobaczyłem go po raz ostatni 1 sierpnia 1939 roku, kiedy przejeżdżałem przez Kraków, a on stał w kolejce do kasy biletowej na dworcu. Nasz pan od geografii, Henryk Wójcik, jak słyszę, pochodził z Opolszczyzny, z której tak jak nasz germanista salwował się po przegranym plebiscycie. Jego obsesją było poznawanie Polski, kiedy nie agitował za popieraniem Funduszu Obrony Narodowej i budowaniem ścigaczy dla obrony wybrzeża.

Już jako dwunastolatek, absolwent szóstej klasy szkoły powszechnej (Ćwiczeniówki) zabrałem się z wycieczką przez niego organizowaną do Wilna i Pińska. Było nas około pół setki chłopców i dziewcząt. Chłopcy byli z wyższych klas gimnazjum i liceum im. ks. Jana Opolskiego, a dziewczęta, tzw. "Raciborzanki", Polki z Niemiec uczęszczające czasowo do szkoły

w Tarnowskich Górach póki budowało się dla nich gimnazjum w Raciborzu. Wśród nich była Anna Bożkówna, córka Arki Bożka, przywódcy Polaków w Niemczech, którego komuniści najpierw wynieśli na urząd wicewojewody, a potem z innymi działaczami polskimi na Opolszczyźnie, sponiewierali i zniszczyli. Ona opiekowała się mną podczas owej wycieczki, która odwiedziła Łódź i jej przędzalnie i tkalnie, Warszawę, Puszcę Białowieską z Hajnówką i żubrami, Wilno z jego Ostrą Bramą i cmentarzem na Rossie, z wycieczką "Panem Tadeuszem" do Werek, następnie do Baranowicz, Łunińca i Pińska, z wypadem parowcem "Orzeł" na jezioro Horodyszcze. Po wielu latach skonstatowałem, że naszą przewodniczką po Wilnie była poetka, Zofia Bohdanowiczowa.

W roku 1938 na naszym szlaku znalazły się Poznań i Gdynia. Byliśmy też na Helu i odwiedzili Oksywie ze stawiaczem m.in. "Gryfem". W czasie tej wycieczki wypaliłem mojego pierwszego papierosa, by się solidaryzować z klasą. Na szczęście, na tym skończył się mój romans z tytoniem.

W lokalnym kinie byłem kilka razy, pamiętam, że podobał mi się film z uroczą Kanadyjką, Deanną Durbin. Ale dobre filmy były dostępne od lat szesnastu, a z tym był, oczywiście, kłopot.



Leopold Pobóg-Kielanowski,
fot. Encyklopedia Teatru
Polskiego.

Do teatru natomiast trzeba się było wybrać do innego miasta. Nie zapomniałem wycieczki klasy do Katowic do teatru im. St. Wyspiańskiego na hiszpańską sztukę Calderona w przekładzie Juliusza Słowackiego "Księżę Niezłomny". Był to rok 1938. Niezatarte wrażenie zrobili na mnie strojni portugalscy infanci, którzy pokazali się po podniesieniu kurtyny. Jeden z nich wygłosił piękne tyrady. Był nim przystojny Leopold Pobóg-

Kielanowski, młody aktor i reżyser hołdujący idei teatru monumentalnego.

W czasie wojny pojawił się w Anglii i był wielokrotnym reżyserem Teatru Polskiego w Londynie. Przypomniał wtedy swoje udane inscenizacje z Polski, również "Księcia Niezłomnego", którego już sam nie zagrał.

W Katowicach dla swawoli współ z kolegami chrupałem głośno suchary w momentach najwznioślejszych. Odpokutowałem burszowskie wybryki później, kiedy zostawszy iberystą byłem promotorem pracy doktorskiej właśnie poświęconej "Księciu Niezłomnemu". Z kurtuazji bardziej niż realizmu posłałem Kielanowskiemu w Londynie do wglądu mój przekład moralitetu Calderona "Tajemnice Mszy Św.", z którego on, w warunkach emigracyjnych, rzecz jasna, nie mógł skorzystać.

I tak wśród nauki i zabaw płynęły młode lata. W czasie letnich wakacji znalazłem się w Katowicach i byłem świadkiem manifestacyjnego pogrzebu Wojciecha Korfantego. Zdało się, że cała Opolszczyzna przyszła przez granicę w barwnych strojach żegnać swojego tragicznego bohatera i przywódcę, nieświadoma, że z jego odejściem miała nastąpić era okrutnej wojny i dramatycznego przewrotu.

W pogoni za złotem

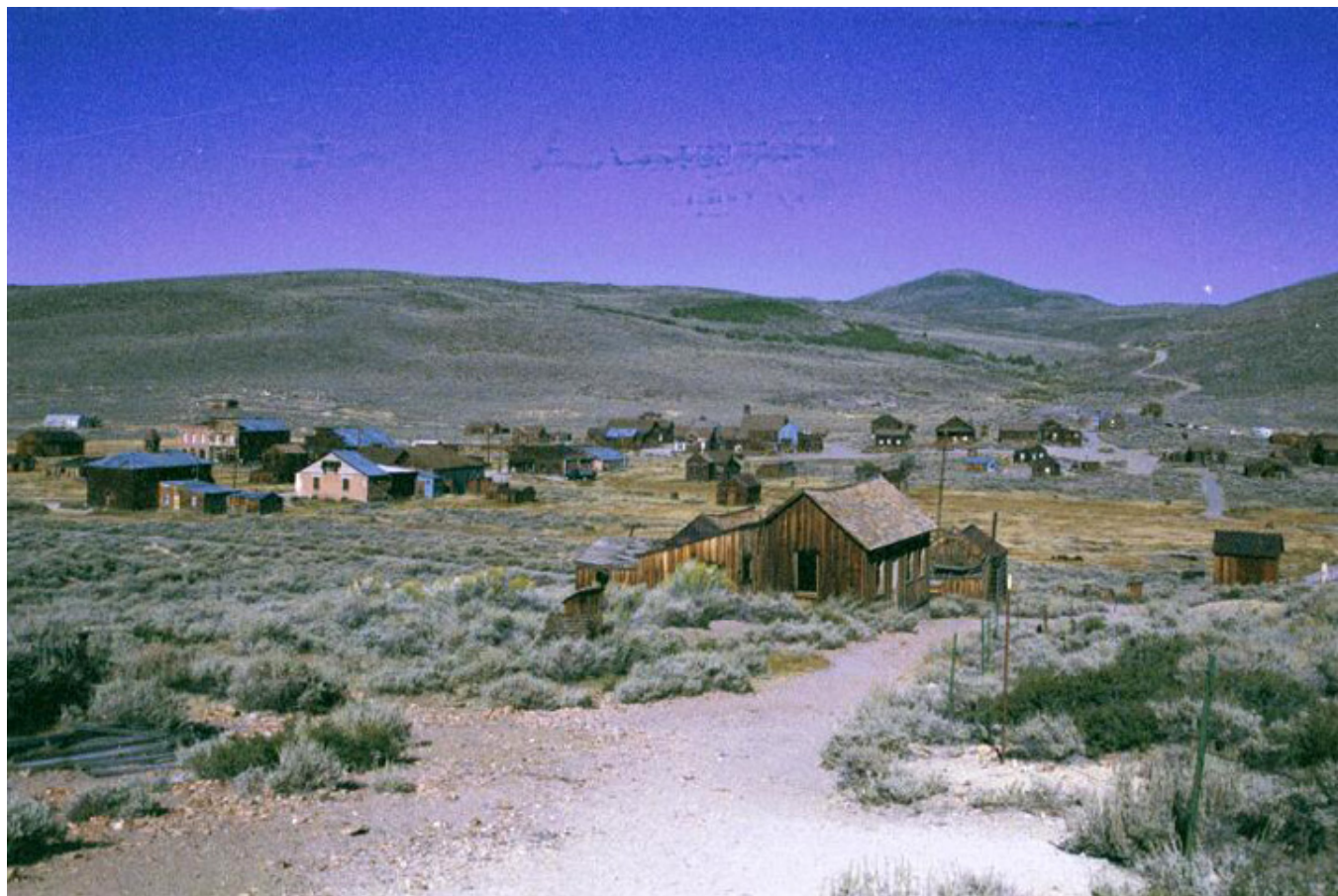
Joanna Sokołowska-Gwizdka



Joanna Sokołowska-Gwizdka i Jacek Gwizdka przed historycznym sklepem w Bodie – miasteczku marzycieli.

Miasteczko Bodie - skansen ludzkich namiętności

Słońce jest już ponad górami pokrytymi skąpą roślinnością. Piaszczysta, kręta droga, wiodąca na południe od kowbojskiego miasteczka Bridgeport, odkrywa coraz to nowy, skalisty krajobraz. Ciepłe powietrze wciska się w górskie przełęcze. Ilu ludzi w pogoni za błyszczącym kruszczem utopiło tu swoje marzenia? Jaką cenę trzeba było zapłacić za stukot metalowych krążków? Tętent końskich kopyt sprzed stu lat miesza się z odgłosem silnika samochodu. Z płyty leci muzyka Carlosa Santany. W oddali widać zlewające się z tłem krajobrazu drewniane dachy rozsypanych pomiędzy górami Sierra Nevada, opuszczonych domów. Dojeżdżamy na miejsce. Okoliczni ludzie mówią, że Bodie jest miasteczkiem - widmem, miasteczkiem duchów. Jedynym zachowanym w tej okolicy skansenem ludzkich namiętności.



Bodie, fot. Jacek Gwizdka

Małe, drewniane domki z werandami, pochylone nad ulicą, z prześwitem lat odbijających się w szybach okien, w ostrym słońcu, na tle błękitnego nieba i wyschniętej roślinności, to nie plan filmowy, czy obraz z westernu z Johnem Waynem. To jedno z 546 górniczych, złotodajnych miasteczek, jedyne, które dotrwało w całości do dziś. Opuszczone od ponad 130 lat, zastygłe w wieloletnim bezruchu. Firanki w oknach, tapety na ścianach, połamany stół, przekrzywiona fotografia nad łóżkiem. Z sufitów gdzie nie gdzie wystają kawałki białego płótna, wciśnięte pomiędzy deski. Wnętrza, wypełnione marzeniami o lepszym życiu, stworzone przez mieszkańców ciasnych, małych, zimą źle ocieplonych domków. Osadników, dla których Kalifornia

miała stać się „ziemią obiecaną”, krainą wielkiej szansy. Młodzi zdobywcy, nie bojący się ryzyka, poszukiwacze przygód, ściągali z całego kontynentu by odmienić swój los. Znosili zimy i upały, ogromne różnice temperatur, ostre mrozy i brak wody. Przetrzymywali samotność i zabójczo ciężką pracę. Każdego dnia walczyli o przetrwanie, ginęli przy przeprawie przez niezwykle trudne do pokonania przełęcze Sierra Nevada, żyli na pustkowiu. Poddający się prawom natury, oddaleni wielokilometrową przestrzenią od najbliższej osady, trwali, opanowani szaleńczą pogonią za pieniędzem.



Bodie, fot. Jacek Gwizdka

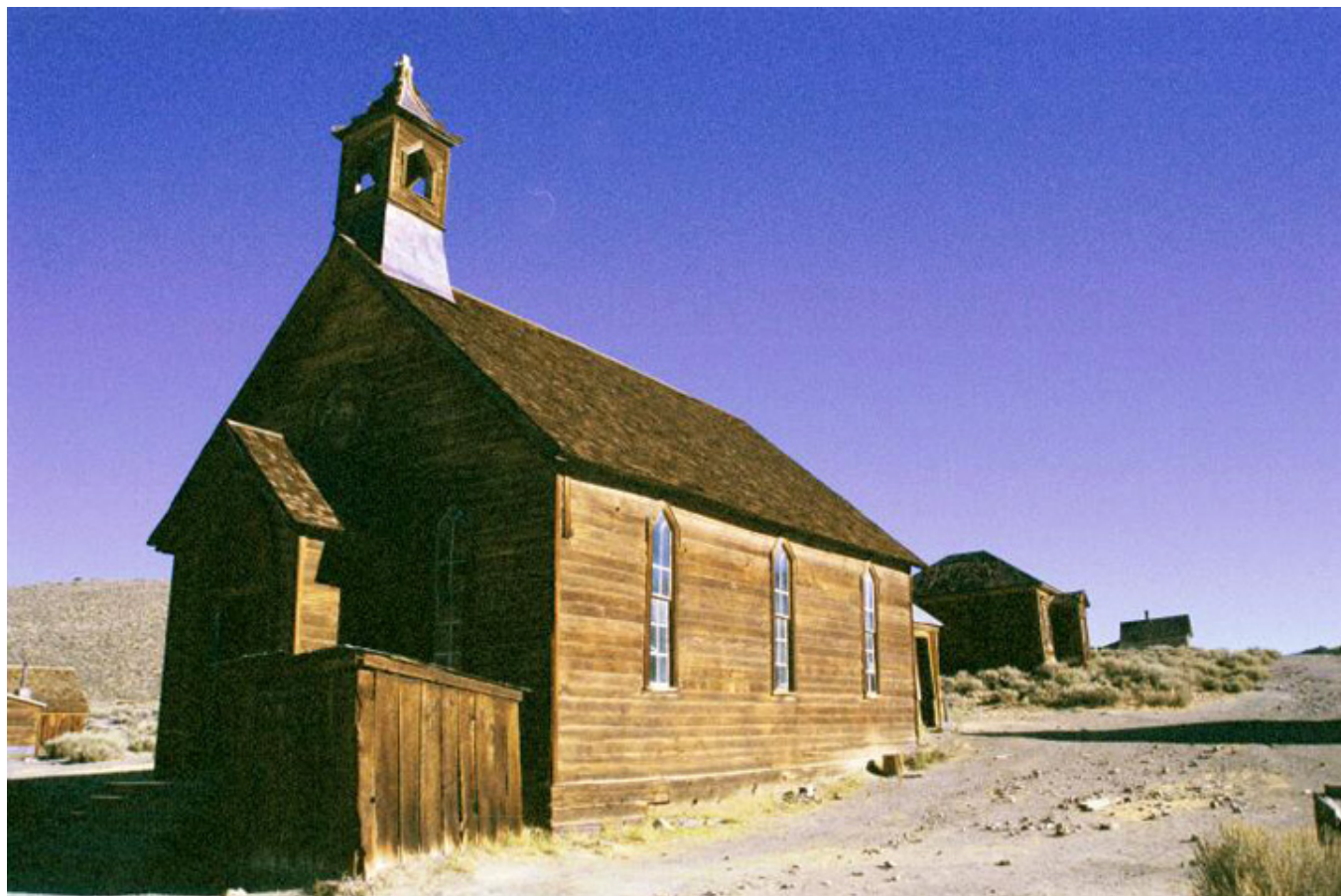


Bodie, fot. Jacek Gwizdka

Słońce połyskuje ciekawie na dachach. W oddali górują nad miastem, zlewające się z krajobrazem, szyby opuszczonej kopalni. To tu w bardzo trudnych warunkach wydobywano rudę złota. Pierwsi poszukiwacze cennego kruszcu mieli łatwiejszą pracę. Wystarczyły im sita i płuczki. Spływająca z gór woda wmywała piasek, a cięższe od piasku i żwiru złoto gromadziło się w zatoczkach i w zakolach rzek. Jednak te łatwo dostępne złoża szybko się wyczerpały. Kolejni przybysze finansowani przez bankierów zaczęli organizować się w grupy, rozpoczęli budowę kopalń, młynów do mielenia rudy, systemów wodociągowych.

Idziemy ulicą, zaglądamy ciekawie przez okna, siadamy na schodach sklepu. Na wystawie stare, zakurzone przedmioty, waga, metalowe pudełka po kawie i herbacie, manekin, butelka po spirytusie, pudełko z napisem „Asspirin”. Kolejne miejsca, kolejne ulice o dźwięcznych nazwach, Bonanza, King, Prospect, Union. Szkoła z tablicą i ławkami, straż pożarna, sąd, więzienie, bank, hotel i siedem *saloonów*, w których można było wydać część ciężko zdobytych pieniędzy. W jednym z budynków zebrano sprzęty i rozmaite przybory z różnych domów. Damskie suknie, kapelusze z piórami, sznurowane buty, wieczorowe torebki, wachlarze, perfumy. Barwnie i kolorowo musiało wyglądać życie wieczorową porą, po ciężkiej pracy w kopalni.

W gablocie album z fotografiami. Twarze, sprawy, codzienne zajęcia i ważne wydarzenia, marzenia i nadzieje.



Bodie, kościół ewangelicki, fot. Jacek Gwizdka.

Zachowany w idealnym stanie kościół ewangelicki, wygląda tak jakby za chwilę miał przyjąć modlitwę o szczęście dla poszukiwaczy złotego kruszcu. Podchodzi do nas jakiś człowiek, w wielkim kowbojskim kapeluszu. – Tak wcześnie w Bodie? – uśmiecha się. A skąd jesteście? Bo ja z San Francisco? Nocowałem niedaleko w samochodzie, by być tu z samego rana. Wtedy jest niesamowite światło, trochę porannej mgły, odrobina tajemniczości. Przyjeżdżam tu co jakiś czas. Coś magicznego jest w tym miejscu. Gdy człowiekowi nie wiedzie się w interesach powinien cieszyć się, że zdobył doświadczenie, bo jest to zapowiedzią przyszłego sukcesu. Tak mówili osadnicy.



Body, wóz którym osadnicy
przybywali po swoje marzenia,
fot. Jacek Gwizdka.

Ta wypracowana przez lata doświadczeń i zmagañ z wysiłkiem, kalifornijska dewiza jest ciągle żywa. Kalifornia nadal przyciąga marzycieli, ryzykantów, ludzi odważnych nie wahających się postawić wszystkiego na jedną kartę. To nie przypadek, że właśnie w Krzemowej Dolinie niedaleko San Fransico ciągle

powstają setki nowych, małych i wielkich firm komputerowych. To tu w błyskawicznym tempie rozwija się Internet, którego sieć opłótła już całą kulę ziemską. Tak jak ponad sto lat temu Kalifornia była głównym dostawcą złota dla mennic i banków w całych Stanach Zjednoczonych, tak teraz dostarcza całemu światu komputerową myśl twórczą.

Czyżby więc sprawdził się jeden z amerykańskich mitów tworzony przez gotowych na wszystko poszukiwaczy złota, mit o Kalifornii – krainie bogatej, krainie szczęśliwej, krainie wielkiej życiowej szansy ?

Czerpię ze spotkań z niezwykłymi ludźmi

Rozmowa z reżyserką Anną Jadowską

Film jest takim medium, które potrafi rezonować z rzeczywistością w najszybszy sposób, odpowiada też

percepcji współczesnego człowieka - opowiadała nam w wywiadzie o swojej pasji filmowania i reżyserowania Anna Jadowska. W nim najpełniej można wyrazić emocje, zapisać wrażenia. I na wszystkich tych etapach doświadczam głębokich spotkań z niezwykłymi ludźmi, z których wiele czerpię.



Anna Jadowska na planie filmowym, fot. arch. A. Jadowskiej.

Barbara Lekarczyk-Cisek: Jest Pani autorką kilku

dokumentów, filmów fabularnych, reżyserowała również seriale. Skąd wzięło się u polonistki zainteresowanie filmem? Dlaczego tę właśnie formę wypowiedzi uznała Pani za odpowiednią dla siebie?

Anna Jadowska: Był czas, kiedy poszukiwałam swojej drogi. Po polonistyce pracowałam w Polskim Radiu, potem zdawałam do szkoły filmowej, nie mając do końca świadomości, dlaczego. Pisałam natomiast opowiadania i bardzo to lubiłam, sądziłam więc, że literatura będzie tym, czym będę się w przyszłości zajmować. Kiedy jednak poczułam, że zaczynam się stabilizować, zaczęłam czegoś poszukiwać, aby od tego uciec. Do PWSFTviT w Łodzi dostałam się za pierwszym razem i mam wrażenie, że czegoś się tam nauczyłam. Sądzę, że film jest takim medium, które potrafi rezonować z rzeczywistością w najszybszy sposób, odpowiada też percepcji współczesnego człowieka. W nim najpełniej można wyrazić emocje, zapisać wrażenia. Lubię także wieloetapowy proces pracy nad filmem – to, że najpierw powstaje scenariusz, potem się go realizuje, wreszcie montuje. I na wszystkich tych etapach doświadczam głębokich spotkań z niezwykle ludźmi, z których wiele czerpię.

Z pewnością takie spotkania zaczęły się już na studiach. Kogo wspomina Pani w sposób szczególny?



Anna Jadowska, fot. Rafał
Placek.

A.J.: Ze szkoły filmowej najwięcej zawdzięczam Wojciechowi Marczewskiemu, u którego robiłam film dyplomowy. Natomiast w przypadku mojego ostatniego filmu: „Dzikich róż” wiele zawdzięczam Agnieszce Holland – konsultowałam z nią scenariusz, oglądała także film na różnych etapach jego powstawania. To ogromnie ważne, aby film mogli zobaczyć ludzie o takim doświadczeniu, jak ona i skierować go na odpowiednie tory.

Pani już na studiach zrobiła pierwszy niezależny film wraz z Ewą Stankiewicz. „Dotknij mnie” podejmował bardzo trudne tematy. Czy ten temat pojawił się dzięki temu, co zobaczyłyście w Łodzi – mieście biednym, pełnym bezrobotnych ludzi?

A.J.: Tak właśnie było! Kiedy trafia się do Łodzi, szkoła filmowa jest rodzajem wyspy, na której się przebywa. Natomiast kiedy zaczyna się rozumieć to miasto, widzieć je i być naprawdę pośród tych ludzi, to jest to doświadczenie dojmujące i nie można pozostać obojętnym. „Dotknij mnie” wziął się z takiej obserwacji. Teraz, kiedy mieszkam w Warszawie, mam wrażenie, że życie w

Łodzi bardziej wychodzi na ulicę. Trochę jak na wsi – bramy wypełnione ludźmi, którzy się spotykają, długo ze sobą rozmawiają, czasami awantury przenoszą się na zewnątrz... Robiąc „Dotknij mnie” wiele wzięłyśmy z tej ulicy. Bohaterka tego filmu, grana przez Ewę Szykulską, jest odbiciem łódzkich kobiet, które po przekroczeniu pewnego wieku coś tracą – nie ma w ich wyglądzie różnicy między trzydziestym a pięćdziesiątym rokiem życia. Kiedy oddają się rodzinie, sprawiają wrażenie, jakby traciły własną indywidualność – szarzeją, jak gdyby pozbawiono je wewnętrznej energii.

Jest Pani również autorką filmów dokumentalnych. Czy praca nad dokumentem wpływa w jakiś sposób na sposób Pani podejścia do fabuły?

A.J.: Lubię dokument i robiąc filmy dokumentalne odnoszę wrażenie, że dużo się uczę o fabule. Fascynuje mnie zapis dokumentalny prawdziwego życia, bo ma naturalną, niewymuszoną dramaturgię i skupia się mocno na bohaterze. To jest sposób narracji, który mi odpowiada. Po zrealizowaniu „Trzech kobiet” z operatorką Małgorzatą Szyłak, kiedy cierpliwie obserwowałyśmy przez dwa lata nasze bohaterki, doszłam do wniosku, że życie pisze najlepsze scenariusze. To była prawdziwa lekcja pokory. Uświadomiłam sobie, jak niewiele można sobie wyobrazić, choćby to, jak niekiedy małe elementy ludzkiego życia mogą stać się przyczyną wielkich zmian i odwrotnie. Dzięki tej

pracy zaczęłam inaczej pracować nad scenariuszem.



Anna Jadowska (z lewej) na planie filmu „Z miłości” z aktorką Anną Ilczuk, fot. R. Pałka.

Czyli można zaryzykować stwierdzenie, że narracja dokumentalna wpłynęła na Pani sposób opowiadania fabuły? Oglądając *Dzikie róże* miałam takie wrażenie, jakby Pani bohaterowie byli wyjęci z życia, prawdziwi.

A.J.: Trochę tak się stało.

Czy ma Pani wpływ na kształt filmu na wszystkich jego etapach?

A.J.: Tak rzeczywiście jest. Moje kino ma charakter autorski.

Oczywiście, muszę liczyć się ze zdaniem producenta, konsultuję scenariusz itd., ale wybory należą do mnie. Każda opinia może być cenna i ważna.

A jak to jest z tematami - same przychodzą czy niekoniecznie?

A.J.: Na pewno nie jest to rodzaj kalkulacji, ale coś musi mnie poruszyć. Czasami pojawia się jakaś scena, która staje się impulsem i ją rozwijam. Z drugiej strony, mam mnóstwo scenariuszy, których nie zrealizowałam. Ale na tym to polega, żeby tworzyć i wybierać.



Anna Jadowska, portret, fot.
arch. A. Jadowskiej.

W „Dzikich różach” podejmuje Pani problem trudnych relacji w rodzinie, a także dojrzewania poprzez macierzyństwo. Jest to właściwie film o trzech kobietach, których portrety przedstawia Pani bardzo wyraziście. Jak Pani pracuje z aktorami i z amatorami, aby takie wspaniałe efekty osiągnąć?

A.J.: Nie mam żadnych magicznych metod (śmiech). Pracuję bardzo długo, cierpliwie tłumacząc. Mam zazwyczaj jasną wizję tego, co chcę osiągnąć. Preferuję rodzaj aktorstwa bardzo oszczędny, nieomal dokumentalny. W osiągnięciu prawdy pomaga mi zmieszanie aktorów z naturszczykami, ponieważ aktorzy czerpią tę prawdę na przykład od dzieci. Moja praca z aktorami jest raczej rodzajem spotkania, wymianą energii. Kiedy ludzie dają przyzwolenie i otwierają się, powstaje wrażenie, że są na ekranie prawdziwi.

Czy udało się Pani uwolnić od tego filmu, któremu poświęciła Pani aż cztery lata życia?

A.J.: Dzisiaj rano obudziłam się bardzo szczęśliwa, że to już poszło w świat! Dopiero teraz poczułam, że skończyłam ten film.

Czy pracuje Pani już nad czymś nowym?

A.J.: Piszę kolejny scenariusz. Mogę zdradzić jedynie to, że

bohaterką będzie również kobieta w dramatycznej sytuacji, ale z odrobiną czarnego humoru.

Anna Jadowska (ur. 15 czerwca 1973 w Oleśnicy) – polska reżyser, scenarzystka i scenografka. Jest absolwentką Filologii Polskiej na Uniwersytecie Wrocławskim oraz Wydziału Reżyserii PWSFTviT w Łodzi. Zrealizowała m.in. następujące filmy fabularne: „Generał – zamach na Gibraltarze”, „Z miłości”, „Dotknij mnie”, „Teraz ja”, dokument „Trzy kobiety” oraz dokument fabularyzowany „Generał” (o gen. Władysławie Sikorskim). Ponadto reżyserowała wiele seriali, m.in. „Na dobre i na złe”, „Uwikłani”, „Niania w wielkim mieście”.

Późne notacje – poezja Floriana Śmieji



Zbigniew Andres

Poezja Floriana Śmieji ma swoje miejsce we współczesnej kulturze. Zapoczątkowana na obczyźnie przed ponad pół

wiekiem (tom debiutancki, *Czuwanie u drzwi*, Londyn 1953) i ciągle tworzona z dala od kraju, rozwija się nieprzerwanie i pomnaża, wzbogaca się o coraz to nowe akcenty, coraz głębsze refleksje, bogatsze myśli sprawdzane i niejako pieczętowane doświadczeniami życia. Jest to więc poezja kształtowana z perspektywy emigranta, poety konfrontującego dwa obszary kultur, zatem w szczególny sposób patrzącego zarówno na sprawy polskie, jak i na problemy uniwersalne, dotyczące w ogóle człowieka. Nie bez znaczenia jest zatem to, iż powstaje na ciągle niepewnym gruncie, bo w warunkach obczyzny, ale i wśród zawirowań historii, a więc w niestabilnej przecież sytuacji egzystencjalnej.

Jest więc w tej poezji coś, co zachwyca, fascynuje i coś co wzbudza zarazem niepokój, skłania do refleksji, poniekąd zaskakuje niespodziewanymi efektami. Na uwagę zasługuje metoda twórcza poety. Z doświadczeń i obserwacji najprostszych nawet zdarzeń, które na co dzień towarzyszą ludzkiemu życiu, czerpie on bogactwo myśli, przenikliwie dostrzega prawidłowości, sensy i absurdy. Zatrzymuje się przy owych powszednich sprawach i tutaj poszukuje okazji do głębszej zadumy nad światem oraz życiem, po prostu nad problemami, wobec których najczęściej przechodzi się obojętnie, bądź które świadomie próbuje się oddalać z pola widzenia. Florian Śmieja eksponując, wydawałoby się nienowe, wielokrotnie przez poetów podejmowane tematy, odświeża je i nadaje im pogłębiony

wymiar. Odwołuje się do dobrze sprawdzonych, wypróbowanych twórczych strategii. Droga jego wyobraźni kieruje się często ku wspomnieniom. W akcie twórczym ożywia się pamięć i ona właśnie stanowi nie tylko niewyczerpane źródło motywów, ale pozwala także przenosić myśli w wymiar czasu uniwersalnego, sprawia, że stają się owe myśli zawsze aktualne. Z tej właśnie konfrontacji, a więc zderzenia się jakby na kliszy pamięci przeszłości z teraźniejszością, rodzi się zamyślenie nad sprawami, które stanowią treść ludzkiej egzystencji, zatem nad doznaniem i doświadczeniem, które nie omijają człowieka, które ciągle stają na jego drodze. Urodę świata, atrakcje życia, nieczęste zresztą, przysłania więc metafizyczny niepokój, smutek przemijania, rozmyślanie nad przemianami czasu. W tym nurcie refleksji pojawia się też motyw ojczystego kraju, zatroskanie o jego losy, i motyw rodzinnych stron, „małej ojczyzny”, śląskiej ziemi, wplatany w wysublimowane wspomnienia. Emocjonalna tkanka tego właśnie motywu najbardziej wyraziście uwidocznia się w wierszu o jakże wymownym tytule: *Przesłanie*. Warto ten krótki utwór przywołać tutaj w całości:

Świat może być ojczyzną

i nieraz nią bywa

lecz matka jest jedna

i święta ziemia

która cię zrodziła.

Dla innych Śląsk to szansa

ziemia obiecana

szczebel do sławy

ja go utraciłem

dlatego się smucę.

Jest to jakby poetycka deklaracja, swoisty manifest twórcy kontemplującego swoją sielską, utraconą bezpowrotnie, przeszłość. Perspektywa emigracji odsłania się tutaj wyraźnie. Ona organizuje specyficzny, pełen nostalgii ton tego wiersza. Szczególnie dużo tego rodzaju utworów zgromadził poeta w tomie *Wśród swoich*. Znamienne, że tom ten powstał właśnie w późnych już latach twórczości Floriana Śmieji, a więc w czasie, gdy powroty do arkadyjskiej krainy młodości, zarówno te realne, odbywane w obecnych już warunkach jakże często, jak i te dokonujące się w sferze wyobraźni, w wymiarze głębokich

doświadczeń wewnętrznych, wiążą się z doznaniem o szczególnej randze emocjonalnej.

Utwory o podobnym temacie i podobnej tonacji, konfesyjne, pełne niezwykle subtelnego liryzmu, obecne są także i w innych tomach poety. Przypomnijmy tutaj, dla przykładu, fragmenty wiersza *Inwokacja* ze zbioru *Bezrok*, w którym nostalgiczna, elegijna nuta brzmi jeszcze wyraźniej:

Bądźcie mi pozdrowione

górnosławskie Opole

Kamieniu Odrowążów

góro Świętej Anny

starki Pana Jezusa

gwarą szepcząca Odro

Gogolinie z piosenki

Dobrzemiu, Siołkowice

Arkadio mego dzieciństwa:

was noszę w sobie jak szkaplerz

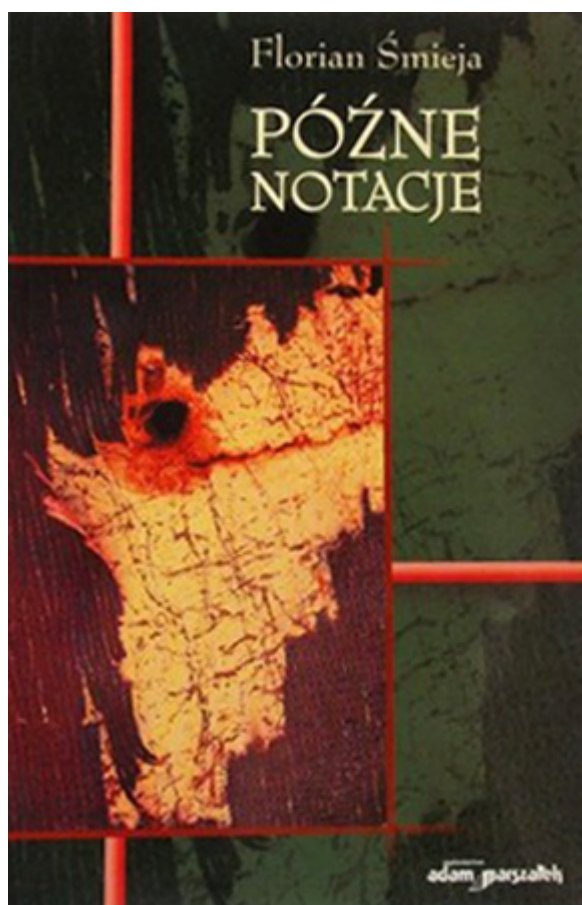
(.....)

Ziemio krzyży przydrożnych

bocianów, ładu i wiary.

Opublikowane, w dobrze już zasłużonej dla polskiej kultury toruńskiej oficynie Adama Marszałka, *Późne notacje*, to czternasty tom poetycki Floriana Śmieji. Na tom ten złożyły się wiersze z trzech ostatnich jego zbiorów wydanych w Kanadzie (Silcan House, Mississauga): *Niepamiętanie* (1999), *Bezrok* (2001), *Nad Jeziorem Huron* (2002). W dołączonych tutaj *Variach* zaś znalazły się wybrane utwory m.in. z tomów nieco wcześniejszych: *Ziemie utracone* (1994) oraz właśnie ze wspomnianych przed chwilą *Wśród swoich* (1998). Można więc w skrócie powiedzieć, że są to wiersze, które tworzone były w ostatniej dekadzie minionego wieku, zwłaszcza na przełomie stuleci. Powstała wówczas znaczna część dorobku poety, może nawet, w przybliżeniu, blisko połowa wszystkich jego utworów. Ta szczególna aktywność twórcza to zapewne wynik nagromadzonych doświadczeń życiowych, rosnącego niepokoju,

dojrzałej refleksji oraz ukształtowanej postawy dystansu wobec spraw ważkich i błahych, ale także w pewnym sensie i rezultat okoliczności innej natury: nowej sytuacji literatury emigracyjnej, a więc procesów integrujących całą polską kulturę, tym samym także wzrostu zainteresowań twórczością poetów dotąd w kraju mniej znanych.



W tomie *Późne notacje* w sposób szczególnie wyraźny daje o sobie znać ukształtowana, dobrze utrwalona, postawa wobec świata i ludzi. Ujawniają się przekonania, poglądy, punkty widzenia, bogate doświadczenia, jakich dostarczyło życie, zatem wszystko to, co stanowi o charakterze i granicach tej twórczości. Poeta – powracamy do myśli w tej pracy już sygnalizowanej – wśród zjawisk świata i w formach ludzkich

zachowań zauważa reakcje zgodne z naturą i prawem, ale też i różne niedorzeczności oraz paradoksy. Są to więc wiersze problemowo niejednorodne, w których częściej może niż w okresie wcześniejszym pobrzmiewa ton rozliczeniowy. Na czoło wysuwają się tematy eschatologiczne, motywy przemijania, samotności, starości, śmierci. Informują o tym już same tytuły

utworów. Wymieńmy tylko niektóre: *Niepamiętanie*, *Notes*, *Odchodzenie*, *Duchów obcowanie*, *De senectute*, *Nagrobek*, *Uchodzenie życia*, *Zachód słońca*, *Nekropol w Carmonie*, *Stary poeta*, *Na śmierć poety*, *Zjawia*. Zobaczmy więc, jakie treści kryją się pod niektórymi tylko, wymienionymi tu, tytułami:

Zanim się spostrzegłem
mój stary notes
stał się spisem umarłych.
Na której by go stronie
nie otworzyć
same puste adresy
i nieme telefony.

(Notes)

Już więcej moich przyjaciół jest po drugiej
stronie

po tamtym brzegu, za ścisłym kordonem.

potrafi,
Przybywa ich. Przewoźnik zdążyć nie

a na mnie patrzą nieme fotografie.

W brzózkach się snują widma niewyraźne

przywidzenia to, pamięć, złąkła wyobraźnia?

*(Duchów
obcowanie)*

Łatwo nauczyć się chodzić

odchodzenie jest trudne

(.....)

odchodzenie najlepiej wdrażać

zanim się człek zakorzeni

(Odchodzenie)

Za długo żyjesz, mój drogi
jesteś, gdy rówieśnicy odeszli
żegnałeś ich, odprowadzałeś
ten luksus już nie dla ciebie.

(Stary poeta)

Taki właśnie ton przeważa w utworach z ostatniego tomu Floriana Śmieji. Ale nie jest to jednak poezja skrajnie pesymistyczna. Mimo wspomnianych tutaj motywów, dominującego nastroju, jest ona otwarta na życie. Poeta próbuje opisywać, o czym była już w tym szkicu mowa, prawidłowości tego życia, jego odwieczne problemy i aspekty. W wierszu *Z czego wiersz?*, dedykowanym księdzu J. Szymikowi, znajdujemy na przykład następujące sformułowanie:

Z życia nam lepić poezję
nie z teorii, suchych dociekań
szkolarskich konstrukcji.

(.....)

tylko rozwieś swe druty

a ściągniesz mocne sygnały

tobie wysyłane, byś nimi

wytyczał drogę pewną

przerzucał kładki

przetwarzał okolicę

krzepił i śmiał się zarazem

z pocieszności wnuczki.

Autor *Późnych notacji* ważną rolę przypisuje przyrodzie. Właśnie przyroda pełna egzotyki, majestatu, tajemniczości (Jezioro Huron), także ta najbliższa, wśród której żyje się na co dzień oraz wypełnione nią krajobrazy budzące zachwyt i podziw swoją urodą, przenoszą zmęczonego życiem wytrwałego wędrowca w wymiar wymownego mitu, jakby w swoisty „zaczas” (tu

znamienny tytuł tomu: *Bezrok*). Regenerującą moc ma również zakorzenienie w realiach stron rodzinnych. Utrwalone w pamięci, przeżyte emocjonalnie, realia z tych stron stają się źródłem ożywczej siły, a tym samym punktem oparcia wobec niepewnej codziennej egzystencji.